



NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata miesięczna 3,000.000 Mkp.
Zagranicą podwójnie

Redaktor Naczelny TADEUSZ ŚWIĘCICKI



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Należność pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 750.000 Marek.

Rok XXI.

Kraków, 26 stycznia 1924.

Nr. 4.



TREŚĆ NUMERU: W rocznicę styczniową — Utwór rzeźbiarski małopolskiego artysty w Wielkopolsce — Zjazd Małej Ententy w Belgradzie — Zgon Lenina — Przełom w Anglii — Tam gdzie ziemia drży pod stopami — Tadeusz Michał Nittman: Bajeczka przy kominię (wiersz) — Mrozy i powódzie. Narciarze polscy na Olimjadzie u stóp Mont Blanc — Kaligula K. Rostworowskiego — W krainie Baśni — Co wiedzą w wojsku polskim o Słowackim,

W rocznicę Styczniową.

W dniu 22 stycznia święciliśmy rocznicę ostatniego powstania — tego rozpaczego czynu nielicznej rzeszy zapaleńców-bohaterów, po których pozostał przez lata

...jeno płacz niewieści
i ciche nocne rodaków rozmowy". —

a którym dziś jawnie i uroczyście naród cały cześć oddaje miłującą. W czasie bowiem, gdy na kartach dziejów przemoc zaborcza wypisywała wyrok śmierci na Polskę i twierdziła brutalnie i szyderczo, że niema już Polaków — wybuchnął płomień powstania, który oświetlił jaskrawo wobec świata całego kłam i fałsz tych wyroków rozbiornych.

Dzień 22 stycznia jest datą, która jak pieczęć czerwona i krwawa, bo nasyciona krwią bohaterów-straceńców, — wycisnęła na obojętnych kartach księgi dziejów znak niezatarty — że — Jeszcze nie zginęła!

To też słusznie w dniu tym naród cały składał hołd i cześć pamięci bohaterów ojców naszych i czcił tych nielicznych weteranów powstania, którzy doczekali dni dzisiejszych, gdy marzenia ich stały się ciałem.

Słusznie dzień wybuchu styczniowego jest narodowym świętem, — bo z czynu tego ojców naszych, z ich mogli były te wszystkie żywe moce, które nas do Niepodległości wiodły przez długie, ciężkie lata niewoli.

Z ich to mogli wstał posiew nowego życia.

Zjazd Małej Ententy w Belgradzie.

Konferencja ministrów spraw zagranicznych Małej Ententy, która obradowała w Belgradzie, i która takie zainteresowanie budziła w świecie politycznym Europy zakończyła się wynikami dość sensacyjnymi ale zgoła odmiennymi od tych, jakich oczekiwano.

Spodziewano się bowiem, że na zjeździe tym nastąpi „rozszerzenie” sojuszu francusko-czeskiego przez włączenie do niego Rumunii i Jugosławji. Miało to być zamknięciem „żelaznej obłóczni”, jaką polityka francuska zamierzała otoczyć Niemcy. Drugą kwestją — która miała być na konferencji podniesiona i która zwracała szczególną uwagę całego świata miała być kwestja podjęcia stosunków z Rosją sowiecką. P. Benesz miał zamiar z Małej Ententy uczynić pomost i łącznik, którego mógłby użyć do nawiązania stosunków między Francją a Sowietami, występując sam jako pośrednik i — naturalnie — wyciągając z tego pośrednictwa zyski.

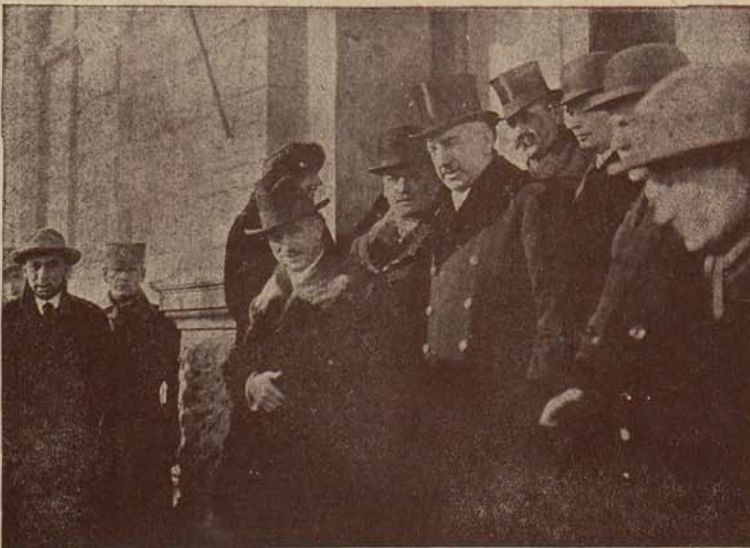
Oba te punkty zawiodły.



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Ministrowie Spraw Zagranicznych Małej Ententy: Duca (Rumunja) Benesz (Czechosłowacja) i Ninčić (Jugosławja). Fot. Centr. Europ. Press.



Zjazd Małej Ententy: Gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Belgradzie, w którym odbywały się konferencje.



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Przybycie p. Benesza do Belgradu przed dworcem. (Od lewej do prawej) Minister Benesz, Dr Seba poseł czeski w Belgradzie, p. Ninčić minister spraw zagran. Jugosławji, p. Nosicz poseł SHS. w Pradze, p. Girsza poseł czeski w Bukareszcie. Fot. Centr. Europ. Press.

Jugosławja i Rumunja uznały za rzecz dla siebie nie wskazaną zaangażowanie się wyraźnie i czynnie w kierunku anty-niemieckim, zarówno jak i w pro-sowieckim. Plany p. Benesza przysnęły. Tym więcej, — że najważniejszym i prawdziwie sensacyjnym wydarzeniem dnia w czasie konferencji — stało się — porozumienie jugosłowiańsko-włoskie, a więc fakt osłabiający czeskie tendencje do wskrzeszenia i mobilizowania czynników panslawistycznych.

Konferencja belgradzka zakończyła się więc fiaskiem planów p. Benesza, które dla nas, Polski ma znaczenie dwójakie.

Fiasko konferencji jest niepowodzeniem polityki francuskiej, budującej tamę przeciw odwetowym tendencjom niemieckim i szukającej obecnie dróg do Rosji. Niepowodzenie to osłabia pozycję naszej sojuszniczki Francji w dyplomacji europejskiej i z tego powodu jest dla nas objawem ujemnym. Ale o ile fiasko belgradzkie osłabia jeszcze bardziej sytuację Czech i wobec Francji i w całym koncercie europejskim i zmusza p. Benesza do lawirowania z wysiłkiem między Francją a Anglią, do proponowania Anglii jakichś bliższych porozumień, a nawet — podobno — do zmieniania jakichś punktów w traktacie z Francją — o tyle dla nas otwiera pomyślne możliwości i wzmacnia stanowisko nasze. Wobec Francji stajemy dziś o tyle mocniej, że jesteśmy jedynym czynnikiem w Europie (obok Belgji) na który Francja w razie niebezpieczeństwa niemieckiego może liczyć z pewnością. Mała ententa ją zawiodła — zarówno w tej sprawie jak i w nadziejach rosyjskich. Że zaś jednocześnie ujawniła się w Belgradzie niewielka wartość i spoistość owego bloku Małej Ententy, który niejednokrotnie już nas w cień usuwał, więc mamy dziś możność odzyskania znaczenia, jakie uzyskała dla Polski polityka generała Sikorskiego.

Miejmy nadzieję, że nowy nasz minister Spraw Zagranicznych, p. Zamojski, który duże doświadczenie polityczne i trzeźwy, bezstronny sąd o rzeczach zdobył w czasie swej pracy na placówce w Paryżu — zdoła z obecnej sytuacji wyciągnąć słuszne, a przynoszące korzyść Rzeczypospolitej wnioski.

A. S.

„AUTO”. Ukazał się numer noworoczny tego jedynego w Polsce czasopisma sportowo-technicznego, poświęcony specjalnie wojskowemu raidowi samochodowemu. Numer otwiera piękna przedmowa w języku polskim, francuskim i włoskim pióra kpt. Szydelskiego. Dalej mamy obficie ilustrowany opis i wyniki raidu samochodowego, St. Szydelskiego nowelkę p. t. „Nocleg w Bieniakoniach”, ciekawy artykuł inż. Adama Günsza: Charakterystyka nowoczesnych konstrukcji samochodowych, Rom. Rud.: Pięć lat pracy, J. Bielińskiego: Nasze bolączki, St. Sz.: Siłnik pięcioletni bez wału korbowego, rysunki i opisy wyrobów fabryk: Renault, Berliet, De Dion Bouton, Spa, Fiat. Ciekawe wiadomości o automobilizmie zebrane w długiej kronice, oraz dział „Z Armji” dopełniają bogatej treści tego pożytecznego wydawnictwa. Adres Administracji: Warszawa, Złota 64, tel. 14-50. Pismo AUTO jest organem oficjalnym automobilklubu Polski.

Utwór rzeźbiarski małopolskiego artysty w Wielkopolsce.

Poniżej podajemy Czytelnikom artykuł jednego z najznakomitszych w Polsce historyków sztuki o pięknym dziele, które jako votum Wyzwolenia Ojczyzny ufundowane zostało dla fary we Wrześni przez hr. Mycielskich. Piękne to dzieło artysty i piękny czyn fundatorów. Na Wrześnię, w której ongiś płynęły łzy katowa ych dzieci polskich spogląda dziś Chrystus błogosławiący z wzniosłego krzyża męczeństwa.

W drugiej połowie minionego roku powstała na wielkopolskiej ziemi wyjątkowo piękna monumentalna rzeźba z drzewa, wykonana przez młodego snycerza rodem z Żegociny pod Bochnią. Podajemy w bieżącym numerze reprodukcję tego Chrystusa na krzyżu 3 metrów wysokości, wykutego w jednym pniu wspaniałego dębu pamiętającego czasy Grunwaldu. Fundatorami tego niezwykłego dzieła sztuki są hr. Edwardowie Mycielscy, którzy przed rokiem objęli w posiadanie rodzinny majątek Ponińskich, słynną z prześladowania polskich dzieci przez rząd pruski Wrześnię, która przez dwa stulecia z górą była własnością rodziny pani Heleny z Ponińskich Mycielskiej. Za jej to inicjatywą i jej sumptem wykonany został jako dziękczynna pamiątka oswobodzenia Ojczyzny ten wizerunek Chrystusa na krzyżu i umieszczony w samym środku zewnętrznej ściany prezbiterium wspaniałej gotyckiej fary wrzesińskiej, powstałej na przełomie z w. XIV i w. XV.

Wykonawcą utworu jest p. Jakób Juszczyk, stojący na naszej reprodukcji pod zawieszonym właśnie na ścianie kościoła swym snycerskim utworem. Odbył on studia rzeźbiarskie w młodzieńczym wieku naprzód w Pradze a następnie przez dwa lata w Tyrolu, tem gnieździe najwspanialszych rzeźb w drzewie kończącego się gotyku. W dziedzinie malarskiej był on uczniem Juliana Fałata i śp. Jana Rembowskiemu, którzy go obydwa wysoko cenili. Przed wojną wykonał już p. Juszczyk kilka rzeźb w drzewie do kościołów małopolskich oraz wielki ołtarz i stalle do kościoła w rodzinnej Żegocinie, w sierpniu 1914 r. wstąpił jako prosty żołnierz do II. Brygady Legionów Polskich i aż do końca r. 1922 w wojsku polskim pozostał. Przez lata ostatnie był porucznikiem 11-go pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim gdzie w chwilach wolnych od zawodowej pracy wojskowej wykult w wielkich dębowych ramach z białowieskiej puszczy bardzo znacznych rozmiarów dwie wypukło-rzeźbione kompozycje związane z heroicznymi dziejami Legionów: „Przejście Legionów z Bukowiny na Bessarabję pod wodzą generała Józefa Hallera w lutym 1918 oraz „Apoteozę oswobodzenia Polski“ z Piłsudskim w środku. Oba te utwory są dziś własnością Muzeum wojska w Warszawie.

Wspaniały krucyfik wrzesiński wykonany według bardzo pięknego nagiego modelu jest dziełem opartem przedewszystkiem o wielką szkołę tyrolskich Pacherów z XV wieku a przepojony duchem i wzorami rzeźb krakowskich Wita Stwosza,

który był głównym mistrzem młodego artysty. Bolesć silnymi płaszczyznami traktowanej postaci skoncentrowana jest wyłącznie w spokojnej, nieco na bok zwisającej bardzo szlachetnej głowie, po

stać zaś cała nie jest wyacetyzowana męką ale traktowana jako piękny model zdrowego o szlachetnych formach młodego człowieka. Pięknym jest pomysł odchylenia dwóch palców prawej ręki, błogosławiącej ludzkość i na nowo zmarłych wstałą odrodzoną Polskę. Utwór ten ukończony został po trzechmiesięcznej pracy u hr. Mycielskich we Wrześni a odsłonięcie uroczyste krucyfiksu odbyło się tamże przy licznych udziale duchowieństwa, garnizonu wojskowego, fundatorów oraz mieszczan Wrześni i okolicznego ludu w dzień WW. Świętych 1-go listopada 1923. Od ostatnich utworów por. Juszczyka znać w nim postęp ogromny, znać przedewszystkiem ostatnie studia, odbyte w Krakowie przez kilka miesięcy minionej wiosny i lata pod kierunkiem tej miary artysty-rzeźbiarza, co dyrektor Jan Raszka. Wreszcie widać również w tym krucyfigu wpływ kilkotygodniowej podróży artystycznej, którą por. Juszczyk odbył w lipcu minionego roku w towarzystwie prof. Jerzego Mycielskiego do Drezna, Monachium i Norymbergi.

Galerja drezdeńska, obie Pinakoteki monachijskie, Germańskie Muzeum w Norymberdze, odsłoniły przed artystą, jak on to sam twierdzi nowe horyzonty wielkiej sztuki malarskiej i rycowniczej Zachodu. Antyki znowuż w Albertinum drezdeńskim równie cudne jak Athena Lemnia lub wspaniałe kobiety z Herkulanum, a dalej cała Glyptoteka monachijska z fascynującymi zawsze archaicznością Eginatami oraz rzezbą helleńską i rzymską epok rozkwitu otworzyły mu oczy na piękno świata starożytnego, które go wprost olśniło. Wreszcie norymberskie arcydzieła rzeźby w kamieniu, spiżu i drzewie Adama Kraffta, Pio-



Utwór rzeźbiarski małopolskiego artysty w Wielkopolsce: Monumentalny krucyfiks, rzeźbiony w drzewie, ufundowany przez hr. Mycielskich z Wrześni i wmurowany w zewnątrz ścianę prezbiterium fary wrzesińskiej. — Obok krucyfiksu stoi twórca jego art. rzeźbiarz por. Juszczyk.



Zjazd Małej Ententy w Belgradzie: Premier SHS. Pašić oraz minister Benesz (z tyłu za nim) i minister Duca (we drzwiach) opuszczają gmach Jugosłowiańskiego Min. Spraw Zagr. Fot. Centr. Europ. Press.



Zgon dyktatora Rosji: Włodzimierz Ulicz Iljanow-Lenin wódz komunizmu, twórca przewrotu sowieckiego i dyktator Rosji w swym gabinecie w Kremlu. Fotografia z dni, gdy jeszcze mógł pracować



Przełom w Anglii: Nowy prezydent ministrów w Anglii, przywódca socjalizmu angielskiego Ramsay Macdonald.

tra Vischera i Wita Stwosza uzupełniły w nim i pogłębiły nauki odebrane w Tyrolu i w Krakowie i dokonały zupełnej już umiejętności opanowania wielkiej monumentalnej plastyki. Ostatnie też dzieło por. Iuszczyka cieszy się już dziś w Wielkopolsce bardzo znaczną popularnością, a nowe zamówienia które otrzymuje świadczą, że poznano się tam na niezwykłym talencie małopolskiego artysty, przed którym nowe otwierają się drogi tworzenia dzieł sztuki zwłaszcza w dziedzinie monumentalnego i portretowego snycerstwa.

Przełom w Anglii.

Dnia 21 stycznia b. r. upadł w Anglii rząd konserwatywny Baldwina na wskutek wotum nieufności wyrażonej mu przez członków partii pracy i liberalów. W myśl zasad parlamentaryzmu panujących niepodzielnie w Anglii, król powierzył misję utworzenia gabinetu liderowi partii pracy i opozycji w Izbie gmin: Ramsayowi, Macdonaldowi. Macdonald misję przyjął i gabinet utworzył.

Dojście do władzy w Anglii partii robotniczej jest epokowym zdarzeniem, które poruszyło cały świat. Będzie ono miało dla światowej polityki poważne następstwa bez względu na to jak długo gabinet Macdonalda się utrzyma.



TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN.

Bajeczka przy kominie.

Trzeszczy żywo ogień na kominie,
Więc dziewczynka o bajeczkę prosi...
Czy o smoku i bladej hrabianie?
Czy o wiedźmie, Jasiu i Małgosi?

„Nie chcę takiej, ja wołę żołnierzy!
Ale tylko niech się dobrze kończy!
Niech na imię jemu będzie Jerzy
I niech chodzi w błękitnej opończy!“

„Niech mu złote z czoła wiszą loki
Niech miłuje czule a statecznie
Niechaj smukły będzie a wysoki...
Takiej bajki chcę! Takiej koniecznie!“

— Drobne piąstki zaciskasz z uporem,
Nóżką tupiesz gniewnie o podłogę,
Mrok zapada, jak zwykle wieczorem,
Wiesz, że dziś ci odmówić nie mogę!

Ach, wiesz dobrze, o! zadobrze o tem
Ty, djabelku z jasnemi oczyma...
A gdy prosić zaczniesz jeszcze potem —
To już żadnej rady na to niema!

Prosić umiesz miękko, pieszczołtliwie,
Coś się roi w niespokojnej głowie...
Słuchaj: powiem o tym wielkim dziwie,
Co się biednem sercem ludzkim zowie!

Cóż to, płaczesz? — Cicho moja mała!
Tak nie trzeba wszak to jeno bajka!
Oczy we łzach a twarzyczka pała...
Żal ci może wędrownego grajka?

Wszystko mija! ...! ta chwila minie,
Przejdą po nas dni, miesiące, lata...
Patrz — wygasa ogień na kominie...
Bajka z życiem tak się dziwnie spleta...

Zgon Lenina.

Twórca partii bolszewickiej, przewrotu w Rosji i czerwonego despotyzmu — Włodzimierz Iljicz Uljanow Lenin — nie żyje! Śmierć jego nie jest niespodzianką dla świata. Chory i sparaliżowany, oddawna zmuszony do odsunięcia się przez to od polityki — spędził Lenin ostatnie miesiące swego życia przykuty do łóżka lub fotela.

Wskutek śmierci jego, indywidualności silnej, partja rosyjska komunistyczna straciła swój symbol widoczny i swego wodza. Stwarza to nowy groźny kryzys w bolszewizmie.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów; upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukcji ich w naszym Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcja Nowości Ilustrowanych*, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.



Mrozy i powódzie: W ostatnich dniach w Rosji, w krainie mrozów, powódź falami wody zalała ulicę Petersburga.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszym Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnym porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.



Mrozy i powódzie: W Petersburgu wezbrana Newa zalała ulice nawet śródmiejskie.

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

10

— Lecz komu mam dać te pięćdziesiąt ludorów?

— Ma się rozumieć, że mnie! Uważa pan, że mój policzek nie jest wart tyle?

— Alż pana nie uderzono!

— Owszem, uderzono moralnie!.. Niech mi pan pozwoli skończyć... Pięćdziesiąt ludorów na broń, lekarza, powozy, śniadanie...

— Czyż pan sądzi, że Piotr Carlelegue przyśle panu swiadków?

— Nie wiem... Może być jednak pewny, że będzie miał wizytę moich...

— Och!..

— Ma się rozumieć!.. Karol Turner nie może otrzymywać bezkarnie policzków!..

— Powiewał pan jednak wie jest prawdziwym Karolem Turnerem...

— Bardzo dobrze! Niech mi pan w takim razie pozwoli stać się Ernestem Panajonem. Nie chcę pozostawać w skórze jegomościa, którego policzki nie są dowoli.

— No, dobrze! Będzie się pan bił!

— Lecz czyniąc to, narażam swą własną skórę... Oceniając to tylko na pięćset ludorów, zdaje mi się, że jestem bardzo skromny...

— Powiedziałem już raz, że dam panu czterdzieści tysięcy franków, gdy pańska rola się skończy... A teraz pan już żąda o dwanaście tysięcy więcej.

— Już? Co pan chce powiedzieć przez ten przysłów? Czy pan podejrzewa mnie, że chcę pana obdzierać?

Maksym Duret nie odpowiedział. Myślał tylko: „To nie podejrzenie tylko, lecz pewność... Na szczęście wiem o tem dość wcześnie... Wiedziałem o tem, mój kochanku, że od chwili, gdy ci się zwierzę, każesz mi śpiewać po swojemu i śpiewać możliwie najluźniej... szukałem jednak sposobu, by przeciąć tę eksploatację... I znalazłem go... Poczekam, gdy nie będę cię już potrzebował, a wtedy zobaczysz!”

Złodziej mówił dalej:

— Zresztą tych dwunastu tysięcy nie zamierzam wcale złożyć w kasie oszczędności... Zuję ich na postrzymywanie powagi bogatego Australczyka... Dopóki mam pozostawać milionerem, będę wydawał wszystko, co od pana otrzymam... Może pan być zupełnie pewnym co do tego... Banknoty pańskie nie będą butwiały w moim portfelu...

I istotnie, pomimo bardzo urodzajnej zimy, która spędził na okradaniu pokoi hotelowych i włamywaniu się do mieszczanich domów, Panajon podczas swej nocnej wyprawy do baronowej de Lagunan nie posiadał nawet dziesięciu ludorów. I teraz nie zbyt wiele mu już pozostawało z dwóch tysięcy franków, które Maksym Duret wręczył mu poprzedniego dnia.

Szczupłość tej sumy, która mu prawie w oczach topniała, od samego rana przyprawiała go o zły humor.

— Sto ludorów ma starczyć na odgrywanie roli nababala — powtarzał sobie. — A gdy je wydam, ten stary Harpagon doda mi drugie sto i ani grosza nie dołoży i za to mam ośmiewać Paryż swą wspaniałością! Jestem podobny z temi kilkoma groszami do żyda wiecznego tulacza!

Tymczasem Maksym Duret już się zdecydował.

— Dobre — rzekł. — Jutro będzie pan miał swe dwanaście tysięcy...

— Doskonale! — odrzekł zadowolony złodziej. — Niech mi pan wierzy, że nigdy nie można skąpić... Nic nie kosztuje tak drogo... jak skąpstwo. Zarumieliłbym się, gdybym musiał dać skromny napiwek kelnerowi, który mi usługuje w kawiarni... Zgodziłbym się już nawet okraść go, byle tylko zostawić mu odpowiednią kwotę... Teraz — mówił dalej, zmieniając ton — inna rzecz... Karol Turner nie zna jeszcze wielkiego świata paryskiego... Kogo ma on wziąć za swiadków?

— Jest to dość trudne...

— Wcale nie. Czyż nie mam pana?

— Tak... Ja jednak nie mogę panu służyć z dwóch względów... Po pierwsze, jestem w przy-

jacielskich stosunkach z młodym Carlelegue'em i jego rodziną...

— Po drugie — rzekł Panajon — poważny filantrop, Maksym Duret, kandydat do akademii nauk moralnych i politycznych, śmiesznie wyglądałby na polu walki przy pojedynku, który wynikł z powodu dysputy o kobietę przy stole gry...

— Istotnie, tak!

— Nie myślałem też wcale pana prosić na świadka... Liczę tylko na pana, jako na człowieka usłownianego, który pozna mnie z dwoma gentlemanami dobrze urodzonymi, dobrze wychowanymi, dobrze widzianymi, jednym słowem z dwoma odpowiednimi świadkami dla Karola Turnera.

— To coś innego.

— To zupełnie co innego... Węzły przyjaźni, które pana łączą z Carlelegue'ami, nie przeszkadzają panu oddać mi tej przysługi... Nie może mi nawet pan jej odmówić... Jeżeli pan w do skonałych stosunkach z wielkim fabrykantem samochodem, nie w gorszym pan jest i z wielkim przemysłowcem z Melbourne, który tylko do pana może się z tem zwrócić...

— Dobrze! — przerwał Maksym Duret. — Będzie pan miał swych swiadków!

— Doskonale! Ludzie zupełnie *comme il faut*?

— Zupelnie!

— Kiedy i gdzie ich zobaczę?

— Przyprowadzę ich panu jutro na ulicę Boissy d'Anglaises. Poproszę ich o to jeszcze dziś wieczorem.

— Jest już dość późno.

— Nic nie szkodzi... Byli oni, a zapewne muszą jeszcze być na przyjęciu u mej siostrzyny... Powrócę tam...

— A kto są ci panowie?

— Markiz de Baudricourt i młody Garrigue.

— Znam ich nazwiska... Markiz jest jak i pan członkiem całej masy rad zarządzających... Garrigue posiada olbrzymią fortunę zdobytą przez jego zmarłego ojca na jabyrkowaniu pigalek przeciw niestrawności...

— Tak, to oni.

Samochód wjechał na dziedziniec Tuileries-Palace i zatrzymał się przed podjazdem.

— Każe się odwieźć na ulicę Ampere — rzekł Maksym Duret.

— Proszę bardzo — rzekł urzejmie Panajon. — Samochód mój jest zawsze do twej dyspozycji, dr. gi przyjacielu!

Maksym Duret powstrzymał się od nerwowego ruchu. Już kilka razy podczas przyjęcia u pani de Lagunan, złodziej i filantrop odzywali się do siebie „drogi przyjacielu”. Czyniąc to jednak, odgrywali rolę dla otoczenia. Prezes spодziewał się jednak, że na osobności, każdy zachowa się odpowiednio do swego położenia. Panajon pamiętał do tej pory o tem i teraz po raz pierwszy dopiero pozwolił sobie na tę poufałość.

Służący w libeji zeskoczył na ziemię i otworzył drzwi. Panajon wysiadł.

— Dobra noc, drogi! — pożegnał Maksyma Dureta, czyniąc w powietrzu przyjacielski gest ręką.

Prezes jeszcze wynioślejszym fenem, niż zazwyczaj, by zaznaczyć różnicę między nimi, a o jakiej zapominał jego współnik, polecił mu:

— A proszę nie zapominać o śledzeniu, o jakim panu mówiłem!

I zagłębił się w samochodzie, nie mówiąc ani jednego słowa pożegnania. Służący zamknął drzwi.

— Proszę odwieźć pana tam, gdzieśmy byli — rzekł Panajon do szofera.

I popatrzył z niezadowoloną miną w samochód, który odjeżdżał w stronę ulicy Rivoli. Bolał go bardzo sposób, w jaki Maksym Duret przyjął jego zbyt przyjacielskie słowa.

— Już po raz drugi tego wieczoru mówi do mnie tak, jakby król nie powiedział do chłopca — szepnął do siebie. — Ordynaryj, gbur, balwan! Sapristi! gdy kto urządzi takie podłe intrygi jak ty, ten nie przybiera dumnych min wobec tego, kto je zna!..

Panajon wiedział doskonale, dlaczego Maksym Duret chce skompromitować Ludwika Dubois. Prezes nie wyjął mu tego i chciał kierować swym współnikiem, jak pajacem, którego podciąga się za sznurek. Złodziej jednak domyślił się łatwo wszystkiego i postanowił

przerwać w połowie swą niegodną rolę fałszywego uwodziciela.

„Poczekajmy jeszcze, dopóki ta stara kanalia nie skompromituje się zupełnie, przedstawiając mnie całemu Paryżowi — myślał. — Dzięki temu i fałszowaniu listów Karola Turnera, będą cię trzymał w rękach i kręcił jak s arym dudkiem...”

Perspektywa pogrzebienia Maksyma Dureta rozweseliła Panajona, u którego zresztą zły humor nie trwał nigdy długo i ustępował wkrótce miejsca wrodzonej mu wesołości. Mrużąc jakąś melodię wstępował z cylindrem na bakier na schody Tuileries-Palace i udał się do swego apartamentu. Towarzyszył mu Tetard.

— Spiesz się, ciuro! — rzekł wesoło złodziej. — Rozbierał mnie prędzej!

Rzucił na sió! kapelusze, laskę, rękawiczki, poczem siadł we fotelu, wyciągając nogi do swego nowokreowanego służącego, by zdjąć mu trzewki.

— Musimy jutro przed południem zainstalować się na ulicę Boissy d'Anglaises... Tam jutro będę oczekiwał na swych swiadków...

— Swiadków!.. Żenisz się?.. — zapytał herkules bez wielkiego zresztą zdziwienia, gdyż po Panajonie mógł się spodziewać wszystkiego.

— Nie, biję się.

— Z kim?

— Z młodym Carlelegue'em.

— Królem stu dwudziestu koni?

— Tak.

— Do diabła! Masz niezwykłego przeciwnika.

— I pojedynek będzie niezwykły... z reporterami, fotografami, z premiiową publicznością... A propos! Zalatwisz mi pewną drobnostkę!

Panajon wyjął z oszklonej szły małą skórzaną torbę, jakiej często używają chirurzy do chowania swych przyrządów. Był to jednak fularz z narzędziami złodziejskimi, z którego d. był mały wytrych. Po tem otworzył walizkę i wydosłał z niej małą latarkę.

— Weż to — rzekł, podając oba przedmioty Petardowi.

— Wytrych... Latarka... — zdziwił się herkules. — Wysłasz mnie na kradzież?

— Wcale nie... Słuchaj uważnie... Zaraz ci wszystko wytłomaczę.

Tetard, który nie lubiał stać, wyciągnął się zaraz na fotelu.

— Nie spij... — rzekł Panajon, wiedząc z kim ma do czynienia.

— Nie bój się, nadstawilem uszy — zapewnił służący. — O co chodzi?

Podczas gdy fałszywy Australczyk dawał wyjaśnienia herkulesowi, Maksym Duret jechał przez bulwar Malesherbes. Opuścił w samochodzie okna, by orzeźwić się świeżym powietrzem i rozmyślał:

— Zdaje mi się, że się z tego wywikłamy, Piotr jest przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem... Najlepszym tego dowodem jest ten policzek... Również i Maixent winien być tego zdania... Po rozmowie jednak z tym mni-manym Melbourne'ym miał jakąś dziwną minę... Nie mogę być jeszcze zupełnie spokojnym...

Samochód skręcił na lewo w ulicę Ampere. Na zakręcie Maksym Duret ujrzał postać mężczyzny, który z jednego chodnika przechodził na drugi. Był to Lewis Jackson, który wyszedł już od państwa de Lagunan i wracał pieszo do domu. Szofer nacisnął frąbkę, lecz Lewis nie wiedząc na którą stronę się cofnął, na chwilę przystanął, lecz zaraz postąpił dwa kroki w tył, by wyminąć samochód, który zakręcał w prawo. Maksym Duret zerwał się z siedzenia i wychylił naprzód.

— Proszę uważać! — krzyknął na szofera. — Jednocześnie jednak schwyć go tak silnie za rękę, iż kierownik zwrócił się na lewo. Wskutek tego samochód zmienił naraz kierunek i najechał na Lewisa Jacksona.

— Do stu tysięcy! — zaklął szofer. — Amerykanin leżał na chodniku.

— Dlaczego pan mnie złapał za rękę? — wołał szofer, zwracając się do Maksyma Dureta.

— Bo pan najechałby na niego!

— Nie najechałby, gdyby pan siedział spokojnie!

Samochód stanął i przestraszony filantrop podbiegł zaraz do leżącego bez zucia Jacksona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle nolaek amerykańskich dedektywów).

10

— Nie nazywam się Castro — mówił szyderczo Bradmardine — to było nazwisko przybrane, teraz już niepotrzebne.

Leonora zdrząła. Zdawało się jej, że to pewnie agent policyjny, który ją chce uwięzić.

A więc nie ujdzie już przed pościgiem! Myśl straszna.

Ale Leonora miała taki zapas energii i siły moralnej, że za wsze zdolna opanovać się w porę, więc odzyskawszy spokój i zimną krew, zapytała poważnie:

— Jaki cel tej komedji? czego pan sobie życzy?

— Celem tej komedji — mówił Bradmardine szyderczo — pochwyć cię w swoje ręce, co mi się całkownie udało. A życzę sobie, abyś mi się moja pani zupełnie oddała, była posłuszną i w niczem nie stawiała oporu. Nikt ci z pomocą nie popieszcy, nic cię z mych rąk nie uwolni.

Leonora cofnęła się wstecz, jakby sposobie się chciała do obrony i ponownie z wysileniem energii zapytała:

— Kto pan jesteś, czego chcesz?

— Kto jestem, to obojętne, a chcę, abyś mi natychmiast wydała wszystkie papiery i listy swojej matki.

— Matki? A! już wiem, niegodziwcze! To pan jesteś tym nikczemnikiem, co zruł życie mojej matki; to pan jesteś tym kłamcą i obłudnikiem, co pod pozorem przyjaźni i życzliwości chciał matkę wyrzucić jedyne dziecko. Znam cię już teraz panie Jaconie Bradmardine! Pogardzam tobą, nienawidzę cię złoçczyńco i papierów nie wydam nigdy, rozumiesz rozbójniku!

Mówiła z uniesieniem, plomienna gniewem i energją. Bradmardine nie spodziewał się takiej energii, takiej śmiałości.

Był pewien, że sierotę odrazu zastraszy i zmusi do posłuszeństwa. Spotkawszy taki opór i upór, widzi, że raczej spokojną enę głę i stanowczością niż groźbami celu dosięgnie.

— Pobjmuję uniesienie pani; wcale mu się nie dziwie, nawet je oceniam należycie, ale to wszystko, co pani mówi, nie zniewoli mnie wcale do odstąpienia od moich żądań. Skoro pani slyszalaś o mnie od swej matki, to zapewne i to ci powiedziano, że jestem wyrwały, stanowczy, przed niczem się nie cofam, byle celu dopiąć. Na długie rozprawy z panią nie mam czasu. Muszę się spieszyć. Jeżeli mi nie oddasz dobrowolnie wszystkich dokumentów i listów, użyję przemocy, bo je mieć chcę, mieć muszę i mieć będę! Rozumiesz pani? ja je muszę mieć!

To rzekłszy, zbliżył się do Leonory z iskrzącym wzrokiem.

— Precz odemnie! — krzyknęła Leonora, wyprostowawszy się dumnie i wyciągnęła rękę, jakby chwytala za broń.

Brad mardine spostrzegł ten ruch.

— To się na nic nie przyda. Chcesz pani chyba skończyć jak bohaterka tragedji. Nie sprzeciwiam się temu. Chcesz swojej śmierci, to ją znajdziesz; ja twę bronię i walkę opuszczam. Oddaj papiery, które masz pewnie przy sobie.

Z temi słowy rzucił się na Leonorę, schwycił ją za ręce i przewrócić usiłował. I teraz spoikał się z oporem niespodziewanym. Leonora była silną; rozpaczy sily jej wzmogła, wyrwała się z rąk napastnika, odepchnęła go tak gwałtownie, że aż się zatoczył o kilka kroków.

— Ha! jędo piekielna! Dość tego. Giń, przepadnij!

Przyskoczył do Leonory, wściekłość zdwoiła mu sily; chwycił ją za gardło, ścisnął jedną ręką, a drugą szukał papierów. Ryczał z wściekłości, nie mogąc ich znaleźć w ubraniu swej ofary. Leonora raz jeszcze wyrwała się z rąk napastnika, raz jeszcze odepchnęła go, ale sily jej wyczerpane oporem i walką opuszczając ją zaczęły; wydała straszny krzyk rozpaczy i runęła zemdlna na posadzkę.

Brad mardine rzucił się na nią, rozerwał suknie na piersiach i sięgał po ukryte papiery, gdy nagle drzwi się rozwarły, woda! postać kobieta, napastnika odepchnęła od Leonory i przyłożyła mu do głowy rewolwer.

Leonora ocknęła się z omdlenia. Ze zdumieniem poznała w przybyłej kobiecie siostrę sennora Castro, a jeszcze większe było przerażenie Brad mardina, gdy zobaczył wdowę O'Neil. swą powiernicę, z rewolwerem przy swej głowie. Rozjąsniło mu się teraz, w jaką wpadł matnię. Zaklął strasznie, wściekle.

— Nie gniewaj się pan tak bardzo, sennor Castro, Jaconie Bradmardine, panie Brady. No, nie ja temu jestem winien, że się pan-u zachciało mieć kobiecie agenta policyjnego! No, przecież pysznie wyglądałem, jako wdowa O'Neil. Tak, mój zacny panie Jaconie Bradmardine, teraz już chyba pojmesz, że wiem dobrze o wszystkim, o tym pościgu za ją pania, aby ją pozbać wszystkim, a zdobyć milionową sukcesję, no i tak dalej i tak dalej. Tymczasem zostaniesz tu mój laskawco, abyś sobie rozmyślał o przeszłości i przyszłości, a pani poszuka sobie bezpiecznego mieszkania.

Brad mardine pienil się ze złości, miał prze-klefiściwa na Stuarta, ale ten uśmiechał się obojętnie i bawił się widocznie wściekłością zbira.

Panno Arny — rzekł Stuart do Leonory z uprzejmym ukłonem — proszę ten rewolwer trzymać nad głową pana Bradmardina, dopóki nie zatławie jeszcze malej formalności.

Leonora pochwyciła rewolwer i mierzyła dobrze w głowę opryszka.

Tchórz, jak każdy nikczemnik, nie opierał się, dał z sobą wszystko robić, co się Stuartowi podobało. Stuart skrupował mu ręce i nogi powrozami.

— Teraz nie będziemy już pana trudu li swoją obecnością. Zapewne się pan dziwisz, jakim sposobem dostałem się tu, tak bardzo w porę, mimo, że pan zamknąłś okno? No poprostu przewidziałem pafskie zamiary i przepiłowałem zasuwę u zamku tak, że pod silnem szarpaniem musiała się zlamać. Jeszcze bardziej pana to dziwi, że cię w tej chwili nie oddają do więzienia; mógłbym to uczynić, ale muszę innym pozostać przyjemność rozprawienia się z rycerzem, walczącym o milion sferowego spadku. Tymczasem ostrzegam: waga od panny Leonory Arny, waga od owej kobiety, którą napadłeś raz i ciężko zranieś, którą ci drugi raz na ulicy z rąk wydarłem. A jeżeli ci, zacny panie, owych papierów tak bardzo potrzeba to udaj się po nie do mnie. A teraz wdowa O'Neil żegna cię zacny mistrzu, bo już jej zapewne nie będziesz potrzebował.

Rzuciwszy pogardliwie na Jacona spojzenie, wyszedł Stuart z Leonorą.

Na schodach zatrzymała się Leonora i rzekła:

— Ocaliłeś mi pan życie. Jestem wdzięczna, bardzo wdzięczna. Śmierci nie lękam się wprawdzie, ale z rąk tego człowieka zginąć nie chciałam. A teraz czy wolno pana o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— W tem przebraniu za kobietę domyśliam się pana Neil Stuarta, czy zgadłem?

— Istotnie. Jestem Neil Stuart, goiów służący pani opieką, jak najlepszy przyjaciel.

— Dziękuję. Czy mam iść z panem?

— Na razie będzie to dla pani najbezpieczniej. Mój powóz czeka pod bramą, zawiozę panią w spokojne i bezpieczne miejsce.

— Dziękuję.

Siedli do powozu, nic do siebie nie mówiąc, bo Stuart nie chciał mówić głosem przybranym a własnym mu nie wypadato w przebraniu kobiecem; Leonora zaś była bardzo zmęczona. Kilka razy zapytywał Stuart po cichu, czy nie czuje się s'aba.

Uspokajała go, dopiero gdy przejeżdżali koło jakiejś apteki, nagle zawołała:

— Słabo mi, mdliję, wody!

Stuart pobiegł do apteki, wraca z wodą, eterem, amoniakiem; spieszy ku powozowi, a w powozie niema Leonory.

XX.

ROZDZIAŁ BEZ TYTUŁU.

W mieszkaniu Stuarta była główna kwatery Ferrarsa i Jocellyna. Tam się schodzili, tam naradzali, tam układali plany. Właśnie Francis Ferrars zgrzebał się w stosie papierów, studjował je starannie, rozmyślał nad nimi.

Były to listy Brad mardina, przez Stuarta znalezione i liczne notatki Stuarta. Nagle wpadł Stuart do pokoju, rzucił z siebie z pośpiechem ubranie kobiece i usiadł w fotelu, nie mówiąc nic, nie witając się nawet z przyjacielem.

Ferrars patrzył nań zdziwiony, ale mu nie przerywał milczenia. Po chwili zerwał się Stuart, wyciągnął rękę do Ferrarsa i zawołał:

— Dzień dobry. A to dziewczucha z piekła rodem! No proszę, wybobraj sobie: uciekla znova!

— Leonora Arny?

— A ona, ona! Drugi raz wywiodła mnie w pole...

— Jakże się to stało?

— Zaraz opowiem. Ale sprytna, niech ją djabli biorą — dodał, śmiejąc się wesolo.

Chciał opowiadać, gdy zjawil się Jocellyn i, zobaczywszy Stuarta, spytał z uśmiechem:

— Jak się masz wdowo O'Neil? Czy już po robocie?

— Oho! już niema wdowy O'Neil; przepadła na zawsze dla swego pana Bradmardine.

— Ej? cóż takiego?

— Dobrze, żeś w porę przyszedł; nie będę potrzebował dwa razy opowiadać. Siadał, nie rusz się, nadstawcie uszy obydwa i słuchajcie.

Stuart opowiadał całą przygodę z wszystkimi szczegółami; wszystko, co się stało z sennorem Castro i z Leonorą; jak przepiłował zamki, jak za drzwiami przysłuchiwał się rozmowie Brad mardina z Leonorą, jak ją obronił a Brad mardina związał i jak mu Leonora uciekla.

— Dwie godziny szukałem jej po całym mieście. Znikła, jakby w ziemię zapadła.

— A mówię ci zawsze Neil, że kobieta nawet djabla w pole wywiedzie, a nie dopiero Stuarta — żartował Jocellyn.

— Żart żartem, moi drodzy — rzekł Ferrars — ale co teraz?

— Trzeba Leonory szukać — odpowiedział Stuart. — Ja się tego już nie podejmę. Raz dla tego, że mnie zna i zawsze się spłoszy; nie mam do niej szacunku; a powióre dlatego, że ona mi zupełnie niepotrzebna.

— A podejrzenia o morderstwo męża? — wtrącił Ferrars.

— Bezpodstawne! Ona niewinna, za to ręce i wnet będą na to dowody. Niech jej szuka Ferrars, jako dziedziczki miliona.

— A Brad mardine?

— Związany w mieszkaniu wdowy O'Neil. Zajmijcie się jego losem; mnie już pilno do zamieszkania z piękną panną.

— Żartujesz — rzekł Jocellyn — a to przecież sprawy tak ważne.

— Właśnie dlatego pilno mi do ładnej panny.

— Nie rozumiem.

— Cierpliwocie! A co do Leonory, żaręczał ponownie, że niewinna. Ukrywa jakąś tajemnicę, którą tu z sobą przywiozła już ze wsi i dlatego ubieka, chowa się, chroni, ale morderczynią nie jest i być nie mogła. Wierźcie mi, zapewniam stanowczo. Dowiecie się niedługo. A teraz bądźcie zdrowi.

Uporządkował na sobie ubranie i wyszedł.

XXI.

NIEPOTRZEBNY KUZYNEK.

Upłynął tydzień od owego dnia i trzej przyjaciele przez ten czas orawie nie widzieli się ze sobą. Stuart przepaol bez wieści. Jocellyn i Ferrars tyle mieli zajęcia, że na schadzki nie było czasu.

Tymczasem Durand wyjechał nagłe w interesie do St. Louis, a że lekarz doradził jego żonie zmianę powietrza, więc i ona pojechała z m. zem. Laura została s. ma. Żeby jej oszczędzić kłopotów z doglądaniem służby i gospodarstwa, przyjęto na kilka tygodni bardzo przyzwolną osobę starszą do zarządu domem.

Był dzień chłodny, ponury, dżdżysty. Laura siedziała w swym buduarze przy kominku i piła czekoladę.

Ubrana, jak zawsze, z gustem i przepychem. Służący podał na srebrnej tacy listy z poczty przyniesione.

Ujęła pierwszy z kr. ju.

Uśmiechnęła się radośnie i czytała:

„Korespondencja z panią uszczęśliwiła mnie prawdziwie. Otrzymałem bilet pani, niesety tak oszczędny w słowach. I za to dziękuję pełną wdzięczności. Wiadomości o przyjeździe rożiców pani zdziwiła mnie niezmiernie. Prawdziwa to dla mnie niespodzianka. Pewnie pani dotki wie uczuwa swoje osamotnienie. Nie wiem, kiedy

będę mógł wrócić do Chicago, ale gdy wrócę, pierwsze kroki skieruję ku tej, która mi pozwoliła łaskawie nazywać się swoim wiernym przyjacielem

Neil Stuart.

— Doskonale i wyborne! — szeptala do siebie Laura. — Głupiec! wpada już w sieć. Rozkocham go, roznamiętnię i wtedy będzie dla mnie znakomitem narzędziem do zdławienia tej jędry. Nelly Brown zginie z jego ręki.

Zatarła ręce z radości. Bierze list drugi. Ten zachmurzył:

„Droga moja Lauro!

Dziwię się, że tak bardzo zapominasz o mnie! To się nie godzi. Sięgkniona za Twem towarzysystwem, przybędę do Ciebie. Musisz pojechać ze mną na sprawunki. Każ, aby powóz był w pogotowiu. Twoja do śmierci

Nelly Brown.”

— Bezwstydna! — syczała Laura — zuchwała! Oby już raz kark jej skrócić!
Trzeci list rozgniewał ją jeszcze bardziej:

„Moje kochane dziecko!

Przybyliśmy tu szczęśliwie. Ciesz się, bo matka znacznie zdrowsza. Prawdopodobnie zatrzymamy się tu nieco dłużej dla spraw bardzo ważnych, ale Tobie uprzyjemnimy osamotnienie, bo przybędzie do Ciebie mój bratanek.

„Gdyśmy Cię adoptowali, mieliśmy zamiar pozostawić ci w spadku cały nasz majątek, bo nie wiedziałem wówczas, że mam bliskiego krewnego. Miałem wprowadzić brata, ale jeszcze w młodzieńcych latach opuścił dom rodzicielski i przeoadł gdzieś bez wieści. Byliśmy przekonani, że umarł bezpotomnie. Tymczasem wczoraj zjawił się u nas młody człowiek i udowodnił metrykami, że jest jedynym synem mego brata, zmarłego niedawno w wielkim ubóstwie. Oczywiście, że mam święty obowiązek zaopiekować się opuszczonym sierotą i uczynić go moim spadkobiercą. Ty atoli kochane dziecko nie lekaj się o swoją przyszłość. Otrzymasz od nas znaczny kapitał, abyś z procentów od niego wygodnie, bez troski żyć mogła, albo na posag go obróciła, jeżeliby ci za mąż wyjść wypadło.

„Mój bratanek Artur przyjedzie w piątek do Chicago i oczywiście zamieszka u nas. Bądź tak dobra, staraj się o to, aby mu na niczem nie zbywało. Niech mu pani Richards urządzi wygodny pokój, a Ty, moje dziecko, bądź dla niego miłą towarzyszką i uważaj go za swojego kuzynka.

„Spodziewam się, że mu nie odmówisz sympatii, a bardzoby mnie ucieszyło, gdyby Was z czasem silniejsze węzły połączyły. Równocześnie piszę i do niego, a pani Richards wręczy mu list, gdy się zgłosi. Prz. j. m od nas obojga serdeczne uściśnienia. Twój

H. Durand.”

Przeczytawszy ten list, Laura skamieniała. Ścisnęła ręce kurczowo, osłupiałym wzrokiem spoglądała w dół, jakby jakieś dziwne widmo zoczyła.

Po chwili przetarła oczy, przyłożyła dłoń do czoła, jakby ze snu twardego zbudzona. Zerwała się z siedzenia, pobiegła do szafy, porwała jakiś fiakonik i przyłożyła go do usi.

Kropki ją uspokoiły. Zaczęła ponownie list czytać i czytała do końca.

— Ha! ha! myślicie, że tak łatwo pozwole się pozabawić milionów, które odziedziczyłam? — szeptala do siebie. — O, ty niepotrzebny kuzynku, pożałujesz swojej wizyty w Chicago. W piątek ma przybyć! Ależ to dziś! A więc już tak prędko! Przybądź sobie niepotrzebny kuzynku!

Zadzwoiła i kazała zwołać pani Richards; potem schowała dwa listy, a ten od Nelly Brown zmiegła w dłoni i rzuciła na kominek; ale do ognia nie wpadł, jeno przed kominek się potoczył.

W kilka minut zjawiła się pani Richards, osoba bardzo miła, wielce podobna do tej, która przed kilku miesiącami Stuart od mordercy uwolniła, a potem wyrwał na ulicy z rąk Bradmardina.

— Niech pani siada — rzekła Laura bardzo uprzejmie.

— Ależ to dziś chłodno — mówiła pani Richards — siadę sobie przy kominku. O, już ogień dogasa, możeby dołożyć drzewa?

— Dziękuję pani, to niepotrzebne; ja lubię chłód. Czy pani wiadomo, że gość do nas przyjedzie?

— O tak; właśnie pisał do mnie pan Durand, że jego bratanek będzie tu mieszkał i polecił mi w urzędzeniu dla niego pokoju stosować się do życzeń pani.

— Ojciec pisze, że kuzynek przyjedzie w piątek, a więc już dziś. Musimy go przyjąć wspólnie. Ale, ale, pani otrzymała podobno list do kuzynka Artura?

— A tak.

— Chciałabym go sama wręczyć kuzynowi, niech mi pani ten list przez służącą przysle.

— I owszem. Teraz muszę poczynić przygotowania, dopatrzeć obiadu
Wstając z krzesła upuściła przy kominku chusteczkę do nosa.

— Al moja chustka — zawoła, schyliła się prędko, podniosła ją a wraz z chustką i zmięty list od Nelly Brown

Upłynęło pół godziny; Laura doczekać się nie mogła listu, więc posłała służącą. Pani Richards kazała przeprosić, że gdzieś list zapodziała i znaleźć nie może, ale natychmiast go sama przyniesie, skoro tylko wyszuka.

Tymczasem nadeszło południe i właśnie, gdy Laura kończyła się przystrajając, anonsowano Artura Duranda.

Laura przyjęła go z uprzedzającą grzecznością, sama go zaprowadziła do pokoju, który mu przygotowany, okazywała największą troskliwość o to, aby miał urządzenie jak najwygodniejsze.

Wywarł na nią wrażenie nie szczególne; wyglądał na studenta mało obytego w świecie. Niezgrabny, nieśmiały, błądy i mizerny, jasny blondyn nie podobał się Leonorze. Było w nim coś chorowitego. Opowiadał, że ojciec polecił mu uczyć się prawa i zostać kiedś adwokatem, ale on do tego nie ma żadnej ochoty, więc teraz, gdy stryj się nim zaopiekował, zabierze się do czego i nego. Laura podtrzymywała tę rozmowę z uprzejmością grzecznego gospodyni, ale wnet ją to znudziło, więc pożegnała kuzynka i udała się do swego buduaru.

Zesłi się dopiero przy obiedzie.

Zaledwie wstali od stołu i udali się do salonu, zaanonsował służący pannę Brown.

— Poprosz do salonu.

Weszła Nelly, ubrana bardzo elegancko, z tą pewnością i śmiałością, z jaką wchodzić się zwykło do serdecznych przyjaciół. Laura przywitała się z udaną słodyczą, przedstawiła jej Artura i wciąż tytułowała ją najdroższą przyjaciółką.

Artur ukłonił się niezgrabnie, bąknął kilka słów o pogodzie, potem rozsiadł się w fotelu i do rozmowy przyjaciół nie mieszal się wcale.

— A więc pojedziesz ze mną na sprawunki — odezwała się Nelly takim tonem, że brzmiało to raczej jak rozkaz, niż zapytanie — a pan zapewnie wybaczy, że Laura pana opuści.

— Bardzo proszę mną się nie krepować — rzekł Artur — ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to wolałabym z paniami pojechać.

— Czy tak? — odezwała się Laura, spoglądając kokietyrnie na Artura. — Jeżeli ci to przyemność sprawi, kochany kuzynku, to pojedziesz z nami.

Pannie Brown było to nie na rękę, ale nie chciała tego dać poznać po sobie, tylko odezwała się do Laury:

— Może przedziemy do buduaru i naradzimy się jeszcze nad sprawunkami. Takie narady kobiecie nudziłyby pana zapewne.

— Nie chciałabym paniom przezkładać. Skorzysztam z tego czasu, gdy panie będą się naradzały i napiszę do stryjaszka.

To rzekłszy, wyszedł ze salonu ziewając.
— Święty Boże! cóż to za gamoń — zawołała Nelly oburzona — gdzież go sobie wyszukała?

— Nie wyszukałam go wcale. Jest to bratanek mego przybranego ojca i do tego bardzo bogaty — dodała z naciskiem.

— Czy możemy swobodnie rozmawiać?

— Najswobodniej; tu nas nikt nie usłyszy i dlatego zapytuję się pani, czego sobie właściwie życzysz? Postępowanie pani zaczyna być natrętne!

Nelly wzruszyła ramionami i rzekła spokojnie:

— Zapominasz pani, że pewne okoliczności pozwalają mi na to.

— A ja myślę, że pewne okoliczności mnie pozwalają pozbyć się raz na zawsze towarzysztwa pani.

— Ha! ha! ha! szczególna pomyłka — rzekła szyderczo panna Brown i zaczęła Laurze coś szeptać do ucha.

Laura zadrżała i zbladła, ale wnet opanowała się zupełnie i w zamian pannie Brown pocichu coś powiedziała.

Wtedy Nella przeraziła się, ust nie mogła otworzyć, plomienie na twarz jej wystąpiły.

— A widzisz, że jesteś w mojej mocy — mówiła Lau a — i bardziej ty mnie lekkać się musisz, niż ja ciebie.

Nelly ocknęła się, opanowała zupełnie i wyjawszy portmonetkę z kieszeni, dobyła z niej kawałek czarnej materji; trzymając ją w palcach, podsunęła Laurze pod oczy i rzekła, cedząc każde słowo z naciskiem:

— Czy pani to zna? A wiesz gdzie to znalazłam i co to znaczy? To bardzo wymowne i dlatego radzę nie straszyc mnie groźbami.

To rzekłszy schowała kawałek czarnej materji do portmoneki, z lodowatym spokojem. Laura walczyła z niepokojem i wzburzeniem, chciała je pokryć obojętnością, ale było widoczne, że ten kawałek czarnej materji i lodowate słowa Nelly, zadaly jej cios dotkliwy.

Nelly to dobrze widziła i dlatego, chcąc wyzyskać zwycięstwo, postanowiła jeszcze jeden cios zadać ni-przyjacielowi.

— Ojóż radzę ci panno Lauro nie sprzeciwiać mi się w niczem. W przyszłym tygodniu będzie w klubie bal maskowy; ja pójdę i pani również.

— Cóż to? rozkazy?

— Nie rozkazuję wcale, ale pani sama uznasz, że to potrzebne, aby niejednego się dowiedzieć. A e, ale... — co porabia przyjaciel pani agent Stuart.

— Czy pani nim się interesuje?

— Panem Stuartem mało, ale interesuję się panią. Wszakże tyle nas rzeczy łączy, że nie tylko mogę, ale muszę interesować się wszystkim, co dotyczy osoby pani. Czy pani ma jakie zamiary względem niego?

— Jaki zamiary?

— No, tak, zamiary małżeńskie; nie myślę przecież, abyś powzięła zamiar zamordować para Stuarta.

— Stuart jest moim przyjacielem.

— No i powiernikiem.

Laura chciała coś w rozdrażnieniu odpowiedzieć, ale się powstrzymała, zażwoniła, kazała służącemu, aby powóz zajechał i poszła do buduaru przebrać się na ulicę.

W kwadrans potem jechali obydwie z kuzynkiem Arturem w takiej harmonji, jakby je najlepsza przyjaźń łączyła.

Zaledwie wjechały, zawołała pani Richards pokojówę e i rzekła do niej bardzo uprzejmie:

— Dokucz mi reumatyzm, a muszę prędko list napisać; proszę cię, wyrećz mi i napisz, co ci podyktuję.

Dziewczyna początywała to sobie za zaszczyt, że może zarządczyni domu wyręczać w pisaniu listu, w ec oczywiście z całą gotowością podjęta się tego.

Tymczasem Laura i Nelly zwiedzały wszystkie pierwszorzędne handle, zatrzymując się w nich dość długo, bo kuzynek Artur okazywał wiele naiwnej ciekawości, wszędzie się gapowało rozglądał.

Nareszcie zatrzymały się w State Street przed bardzo wspaniałym magazynem, gdzie spotkały trzech młodych mężczyzn.

Jeden z nich ukłonił się bardzo uprzejmie. Laura odpowiedziała na ukłon przyjacielskim uśmiechem, a Nelly Brown dała mu znak, aby się zbliżył i stanął przy niej, powiedziała mu kilka słów po cichu.

Dwaj towarzysze przywołanego przez pannę Brown mężczyzny, zatrzymali się na boku i przypatrywali się obu paniom.

— Patrz Ferrars, ta dziewczyna, co zawołała Ferrusa, to panna Brown, czyi dama z opalami. A jej towarzyszka, to pewnie panna Durand, pierwszy raz ją widzę, ale na Boga, to dziwne.

To rzekłszy Jocelyn wpatrywał się w Laurę z napiętą uwagą, szczególnie jej oczy dziwiły w nim budziły wspomnienia.

Natomiast Ferrars nie odrywał oczu od Nelly Brown.

— Kto ta dziewczyna? kto? — pytał Jocel-lyna.

— Wszakże ci powiedziałem, że to dama z opalami; mieszka w domu przykającym do nieszczęsnej willi Arteveldia.

— Ciekawe, ciekawe — mówi do siebie Ferrars.

Tymczasem Ferrars odłączył się od kobiet, wrócił do towarzyszy i poszli wszyscy trzej razem.

Kobiety wsiadły do powozu i pojechały do pensjonatu pani Rogers, gdzie Nelly wysiąć chciała. Po drodze sięgnęła do kieszeni i spozstrzegła, że nie ma portmonetki. Rzuciła podejrzliwie okiem na Laurę, będąc przekonana, że towarzyszka dla owego skrawka czarnej materji portmonetkę jej skradła.

XXII.

SPADKOBIERCZYNI MILJONOW.

Francis Ferrars przez osm dni krążył wciąż około swej apteki, przed którą Leonora Stuartowi zniknęła. Nabrał przekonania, że nigdzie daleko od owego miejsca odbiegnać nie mogła, bo Stuart byłby ją przecież dopatrzył, skoro puścił się za nią w przyległe ulice; nasunęła mu się też uwaga, że może pod pozorem za słabnięcia do apteki weszła i przypadkowo w domu apiekarza schronienie znalazła.

Dlatego zglądał codziennie do apteki pod różnymi pozorami; zawsze tam coś kupił i rozmowę z apiekarzem zawiązywał.

Atoli mimo najrzeczniejszych zabiegów niczego dociec nie zdołał. Już nawet tracił nadzieję wszelką, gdy pewnego wieczoru, przechodząc koło apteki, spozstrzegł, że okna na pierwszym piętrze nie zasłonięto storami.

Wparzył się w nie i zobaczył dwie kobiety, jak przez okna spoglądały na oświetloną ulicę, żywo z sobą rozmawiając.

Jedna była to osoba starsza, o szlachetnym i rozumnym wyrazie twarzy, a druga młoda, piękna, okazałej postaci. Wiedział dobrze, że w całym domu nie mieszka nikt inny, prócz apiekarza i jego żony, tudzież dwójga służby.

Owa młoda osoba jest zatem albo gościem, albo też dziedziczką milionowego dziaćka.

Jeżeli jest gościem, to zapewne przez noc nie zostanie. Ferrars pozostał przez całą noc na stanowisku i nie spuszczał z oka apteki. Gość nie wyszedł, a zatem znalazła się poszukiwana dziedziczka milionowego dziaćka.

Co teraz czynić? Jeżeli się ukrywa, to niezawodnie apiekarz nie odsoni jej incognito, a dopytywanie może nawet ją spłoszyć.

Trzeba działać odrazu, stanowczo i ryzykować, że może wyniknie z tego jaka pomyłka. Korzystając z chwili, kiedy apiekarz bardziej niż zwykle był zajęty, wszedł Ferrars śmiało na pierwsze piętro, otworzył wytrychem drzwi klatki schodowej, potem przeszedł kilka schodów i zastał w przed drzwiami mieszkanca. Usłyszał w pokoju mowę kobiecą, więc zapukał do drzwi i nie czekając odpowiedzi, otworzył je i wszedł.

Przy stole siedziały te same kobiety, które wczoraj wieczorem widział w oknie. Ukłonił się z właściwą sobie elegancją i rzekł bez najmniejszego zakłopotania:

— Pani wybacz, że przychodzę tak niespodzianie. Zależało mi na tem, żeby jak najprędzej pomówić z panną Leonorą Armyń.

Leonora zerwała się z krzesła i spojrzała na Ferrarsa niepokojnie. To go upewniło, iż się nie pomylił.

— Pani wybacz, że tak obcesowo tu wszedłem, ale pewien jestem przebaczenia, skoro się pani dowie o wszystkim.

— Czego pan żąda? — zapytała Leonora cokolwiek uspokojona, przypatrzawszy się uczciwej twarzy Ferrarsa.

— Jestem najczulszym przyjacielem pani i przybywam po to, aby panią ochronić od przesładowań zawziętego wroga. Jeżeli mi pani ufa, opowiem wszystko; a jeżeli pani mniema, że na zaufanie nie zasługuję, oddalam się natychmiast.

— Jak pani sądzi, pani Welkins — zapytała Leonora.

— Może ten pan pragnie coś ważnego powiedzieć, dlategoż go nie wysłuchać? — odpowiedziała starsza kobieta. — Jednak pragnęłabym wiedzieć z kim mam przyjemność mówić?

Ferrars uśmiechnął się i z poczciwą jowialnością odpowiedział:

— Jestem pewien, że będziecie panie cierpliwiej i chętniej słuchały, nie wiedząc jeszcze kim jestem. Popeliam wielki grzech towarzyski nie przedstawiając się paniom, ale ten grzech w tej chwili jest bardzo potrzebny.

To powiedziałwszy, dobył z portfela papiery i podał je Leonorze. Ona spojrzała na nie i ogarnęła ją głębokie wzruszenie. Były to listy jej matki do Bradmardina pisane.

— Skąd pan wzięłeś te listy? — spytała Leonora.

— Odebrano je wrogowi pani Jasonowi Bradmardine.

— Czy pan go zna?

— Tak pani. Tego nikczemnika trudno nie znać tym, którzy panią otaczają największą życzliwością.

W tej chwili wszedł apiekarz i zobaczywszy obcego człowieka, stanął zdumiony, mierząc Ferrarsa pytającym wzrokiem.

Leonora tłumaczyła apiekarzowi, że przybył ma być jej przyjacielem i że właśnie zamierza opowiadać o sprawach, które są dla niej nadzwyczaj ważne.

— Czy mogę i ja wziąć udział w tej rozmowie? — zapytał apiekarz.

— Najgoręcej o to pana proszę — odpowiedziała Leonora.

— Co do mnie — wrócił Ferrars — to powiem szczerze, że pańska obecność bardzo pożądana. A teraz proszę posłuchać ciekawej historii. Jakoś mniej więcej przed dwudziestu laty wyleciał w podróz jedyny syn bogatego pana angielskiego. Zatrzymawszy się we Francji poznał tam uroczą pannę, córkę szlachcica francuskiego, który niedługo ożenił się z piękną i zającą wieśniaczką włoską. Ten mezalians usunął go od rodziny, więc żył na uboczu, wychowując najstarszą jedyną swoją córeczkę, bardzo piękną i zającą, właśnie tę, z którą ów jednak angielskiego pana się ożenił, wbrew woli swego ojca. Ojciec wybrał dla niego narzeczoną w Anglii, córkę jednego z poważnych lordów, więc dowiedziałwszy się o potajemnym małżeństwie syna, oburzył się niezmiernie i małżeństwo zerwać postanowił.

Młoda para żyła tymczasem w południowej Francji w ukryciu, ciesząc się wjemną najkłęwszą miłością. Szczęście młodych ludzi zmogło się jeszcze, gdy ich Bóg obdarzył córeczką. Żyli w ukryciu, o którym nikt nie wiedział, oprócz jednego człowieka. Był to daleki krewny młodego Anglika, oświadczający mu z przyjaźnią i serdecznością bez granic. Młody Anglik ufał mu zupełnie; tymczasem ów przyjaciel doniósł anonimowym listem ojcu młodego Anglika, gdzie się młoda para znajduje a zarazem, pod jakimś pozorem naklonił przyjaciela do wyjazdu do Anglii na czas krótki. Młoda małżonka została w domu sama z dziećmi, wedy przybywa ojciec jej męża i w sposób szorstki, bezwzględny, czyni jej wyrzuty i wręcz oświadcza, że tego małżeństwa nie uznaje i synowi do niej wrócić nie pozwoli. Biedna kobieta zalała się łzami i nie mogła obronić się niczem przed doklitwą zniewagą.

Dumny pan wyruchał, syn jego nie wracał, więc biedna kobieta niepokoiła się bardzo sądząc, że mąż ulegnie rozkazom ojca i porzuci żonę i dziecko. Tymczasem ten mąż zapadł w ciężką chorobę i całe tygodnie spędził między życiem a śmiercią, a natomiast orzybył ów kuzynek i przyjaciel i okazując na większe współczucie opuszczoną kobietę, zapewniał ją, że mąż do niej nie wróci, że czyni starania o zerwanie małżeństwa i dodał jeszcze, że jego ojciec czyha na życie jej i jej dziecka. Nieszczęśliwa uwierzyła mu z całym zaufaniem.

Lęk o dziecko, obrażona dumą kobiety, opanowały ją zupełnie. Postanowiła więc ukryć się, aby jej i jej dziecka mściwa ręka dumnego pana angielskiego nie dosięgła. Miała wielki żal do męża, ale mu nie zlorzeczyła. Zmieniła więc miejsce pobytu, stosując się do fałszywych wskazówek fałszywego przyjaciela. Tymczasem mąż wyzdrowiał i pospieszył do żony. Nie zastawszy jej, szukał pełen niepokojem, dopóki fałszywy przyjaciel go nie zapewnił, że ta żona niegodną jest jego miłości, bo z jakimś Włochem uciekła. Nieszczęśliwy człowiek uwierzył fałszywemu przyjacielowi, popadł w rozpacz i umarł zlamany żalem i tęsknotą.

Owym fałszywym przyjacielem, owym sprawcą całego nieszczęścia był: Jason Bradmardine. Posiadał zgubić jednaka bogatego pana, aby pozyskać milionową sukcesję.

Zawadzała mu jeszcze córka przyjaciela, więc śledził ją i ściagał aż do tej chwili, chcąc ją życia pozbawić. Ale ta jego walka o milion daremna. Ow pan angielski jest wprawdzie człowiekiem dumnym ale zycznym i honorowym. Zaczność nakazuje mu przytulić dziecko swojego jedynego syna i wynagrodzić mu te krzywdy, jakich jego rodzice doznali; poczucie honoru nie dozwala mu oddać swojego mienia w ręce człowieka, którym pogardza. Dlatego polecił mi, abym wyszukał mu wnużkę i przywiózł ją do Anglii, gdzie na nią czeka milionowy spadek i serce kochającego dziadka. Zjeżdżilem wszystkie kraje Europy, kilka lat spędziłem w podróży i wreszcie znalazłem cię, pani Panno Leonoro Armyń racz pospieszyć do zamku swoich praojców i przybrać należne tobie nazwisko!

To powiedziałwszy, Ferrars wstał z krzesła i uklonił się Leonorze ceremonialnie. Nastala pauza.

Leonora zamyśliła się głęboko; wyglądała jak we śnie pograżona. Dopiero po długiej chwili przełamała czoło, westchnęła głęboko i spytała z odieniem smutku i niepokoju.

— Pan jesteście zapewne agentem policji?

— Tak jest, milady. Nazywam się Francis Ferrars, Scotland Yard.

— Zdaje mi się, że pańska posłannictwo daremne, bo moje przeznaczenie takie, abym dla świata przepadła w zapomnieniu, równie jak moja matka.

— O nie, milady. Wiem dobrze, dlatego pani to mówi. Zapewniam najuroczyściej, że wszelkie obawy są bezpodstawne. Poznałem wszystkie okoliczności, które panią skłoniły dwa razy usunąć się przed opieką najlepszego swego przyjaciela p. Nelly Stuarta. On z całym wysiłeniem pracuje nad tem, żeby wykryć prawdziwego zbrodniarza, a panią uwolnić od wszelkiego niepokoju. Pomaga mi w tem jego przyjaciel Jocellyn, a teraz i ja się do nich przyłączyłem. Niech pani z całym zaufaniem powierzy nam swe losy.

Taka była w tem przemówieniu stanowczość tyle w twarzy Ferrarsa malowało się poczciwość, że nie można było wątpić w jego szczerść. Apiekarz podał rękę Ferrarsowi i rzekł, zwracając się do Leonory:

— Pod taką opieką odzyskasz spokój i szczęście!

XXIII.

NIEZWYKŁY ZŁODZIEJ.

Laura uzalała się bardzo na ból głowy i przeziwszy kuzynka, że go samego zostawić musi, udała się do swego pokoju. Pani Richards zaniepokoiła się bardzo cierpieniem Laury, przysłała też zaraz, aby jej doradzić lekarstwo.

— O! najlepiej niech się pani połoczy wcześniej do łózka i wyśpi spokojnie, a głowa boleć przestanie. Zrobimy kompresik na głowę, to także będzie dobrze.

Laura usłuchała. Kazała się pokojówce rozebrać i weszła do łózka. Pani Richards przyrzadziła jej kompresy i doradziła napić się wody; nawet nałala jej sama do szklanki, przyczem niepostrzeżenie wpuściła tam kilka kropel płynu, który miała we flasce przy sobie.

— Szklanka świeżej wody także przyczyni się do uspokojenia bólu.

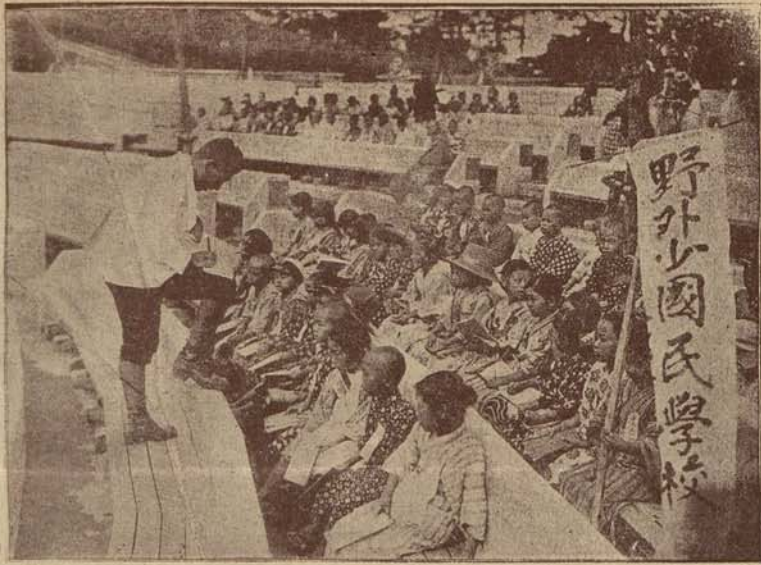
Gdy Laura istotnie spragniona wypila podaną sobie wodę, troskliwa zarządczyni przelożyła jej nowy kompres, także niepostrzeżenie jakimś płynem pokropiony i odeszła, zostawiając płonąca świeczkę na szafeczce przy łózku.

W godzinę potem otwarł się cicho drzwi sypialni i wszedł ostrożnie zamaskowany mężczyzna otulony czarnym płaszczem. Zbliżył się jak cień ku śpiącej Laurze, wziął świecę płonąca i przesunął ją przed oczyma śpiącej, ale nawet nie drgnęła. Wtedy wsunął rękę pod poduszkę, wyjął klucze i poszedł do przyległego buduaru.

Tu otworzył małą elegancką szafeczkę i przy świetle krytej latarki rozpoczął przegląd tego, co się w onej szafeczce mieściło.

Najpierw nasunęła mu się w rękę szkatulka z precjozami; były tu brylanty, diamenty, szmaragdy i szafiry niezwyklej wartości, a prócz tego drogocenny naszyjnik z pereł. W innej szkatulce był zegarek damski wysadzany brylantami, z wrytym napisem: „Kochanej Laurze od ojca”. Znalazł też elegancki rewolwer angielskiego wyrobu, całkowicie nabity.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tam gdzie ziemia drży pod stopami: W zniszczonym Tokio życie znowu wre. Ponieważ szkoła legła w gruzy, nauczyciel odbywa lekcję z dziećmi w parku pod gołym niebem i na amfiteatrze sportowym.

Tam gdzie ziemia drży pod stopami.

Zaledwie cztery miesiące upłynęły od tej straszliwej katastrofy, która stolicę Japonii Tokio i jej największy port Jokohamę zamieniła w gruzy — a już niezwykle żywotna i nieustępliwa ludność zbudziła nowe życie w ruinach. Gorączkowa praca wre wszędzie. Świat nie usłyszał ani słowa skargi, ani jednej prośby o pomoc od narodu japońskiego. Zamknęli się w milczeniu i — w pracy. Jak mrówki milczące — tak z wytrwałością i uporem synowie krainy Wschodzącego Słońca zaroiłi się wśród gruzów swoich domów i bez lamentów ani rozpacz, bez oglądania się na żadną obcą pomoc — rozpoczęli wśród ruin budować ogniska nowego życia. 350.000 domów zostało zburzonych w czasie katastrofy. W ciągu trzech miesięcy stanęło na ich miejscu gotowych już 140.000 baraków a dalszych 50.000 było na ukończeniu. Wzdłuż zrujnowanych ulic stanęły baraki, budki ze sklepami, nawet pod odkrytym niebem na matkach dawni kupcy rozłożyli swe towary, osiągające dziś niesłychane ceny, i sprzedają je wśród ożywionego ruchu, natłoku i wrzawy.

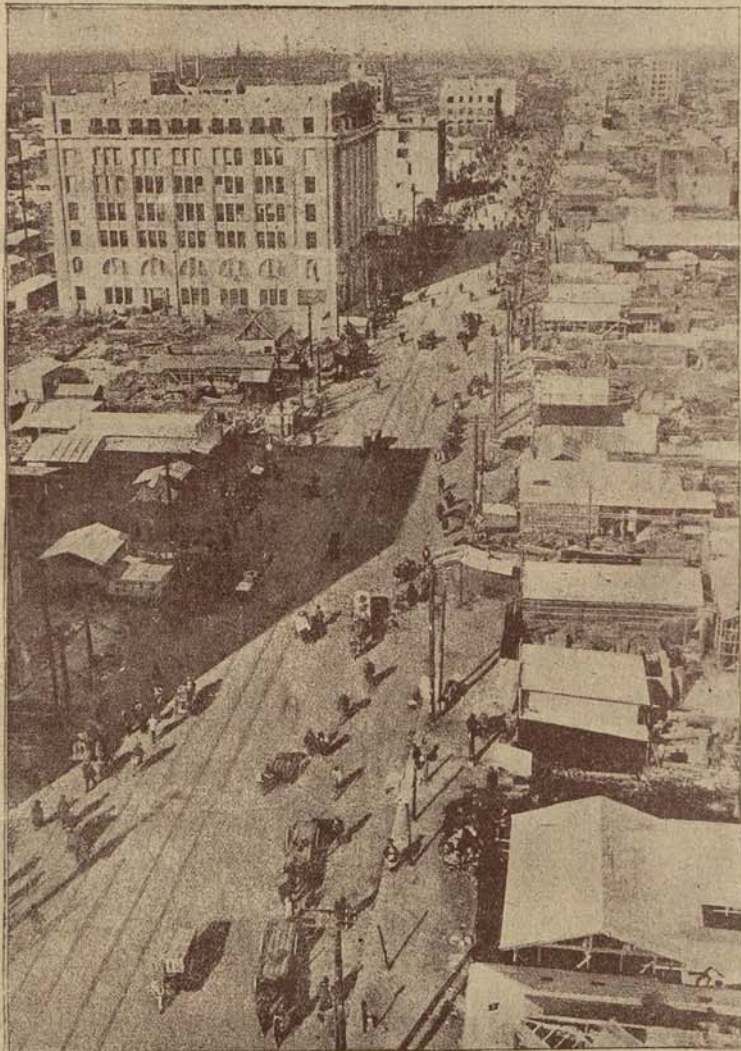
W dzielnicy szkolnej stanęły już także setki szkolnych baraków, na terenach oczyszczonych z gruzów przez młodzież szkolną lub studentów. Gdzienigdzie pod gołym niebem, w parku nauczyciele prowadzą swe lekcje. Zdała sterczą zgłiszcza — pomiędzy nimi zaś wre życie, kursują już na nowo przepiękne tramwaje. Tokio żyje na nowo.

Smutniej i śmiertelniej jest w Jokohamie, szczególnie w dzielnicy europejskiej. Tam do dziś leżą trupy spalonych i zabitych przez gruz, — do dziś prawie żywego ducha nie ujrzeć wśród ruin. Nic dziwnego. Kulisi chińscy żądali za dzień pracy przy odgrzebywaniu zabitych — 15 jenów, czyli około 150 milionów marek (jen równy jest dolarowi). Jedna z firm angielskich musiała zapłacić 25.000 jenów tylko za oczyszczenie jej terenu z gruzów. To też nic dziwnego, że w tej dzielnicy do dziś ruiny w znacznej mierze leżą nietknięte, a pod nimi do dziś spoczywają nieodnalezione trupy.

Jokohama jest martwą. Tylko jej część japońska nieco ożyła, tak jak To-jo, wśród którego gruzów nowe życie wre w pełni i k'pi.

I nic nie znaczy, że od czasu do czasu, co kilka tygodni lub nawet co dni kilka ziemia drży pod stopami budujących na gruzach. Nic to, że ci co budzą wśród ruin życie nowe czują co pewien czas nowe kołysanie się ziemi pod nogami i słyszają dolatujący trzask ocalałych z poprzedniej katastrofy domów, których 500 znowu runęło przed dwoma tygodniami, — jak doniosły o tem depesze.

Nic to. Japończyk może się lękać trzęsienia ziemi, choć nie ono to pochłonęło tyle ofiar, lecz inny, straszniejszy jeszcze żywioł — pożar, którego nie lękają się wcale. Ale pomimo całego lęku, pomimo tego, że trzęsienia ziemi są tam niemal codziennymi zjawiskami — Japończyk nie ustąpi — trwa i uporczywie trzyma się na swej glebie rodzinnej, choć mu ona drży pod stopami.



Tam gdzie ziemia drży pod stopami: Tokio w 2 miesiące po trzęsieniu ziemi. Jedna z głównych ulic Nihonbaszi-Dori wypełniona jest znowu życiem płynącym wzdłuż linii baraków. Nawet tramwaje kursują.

Mrozy i powodzie.

Po długim okresie łagodnej, jesiennej pogody w grudniu — zima twzyła się na dobre. Mróz ścisnął dotkliwie i śnieg olbrzymim pokrowcem osnuł Polskę całą. Nasz stary Kraków szczególnie piękną i uroczą przybrał szatę przed tygodniem, gdy szron koronkami girlandami ubrał drzewa wszystkie na plantach i skrzył się w bladym blasku zimowego słońca. Przyszła wprawdzie kilkuniednia odwilż. Szron zginął a fatalne krakowskie błoto zalało wszystkie ulice. Wobec olbrzymich ilości śniegu w tym roku niebezpieczeństwo groźnych powodzi zająrzało nam już poważnie w oczy. Lecz odwilż była chwilowa. Mróz znowu powrócił i jeszcze silniej ujął w karby lodu całą powłokę ziemi. Zima ostała się i zwyciężyła.

To u nas.

Natomiast z zagranicy, z Francji i z Rosji nadchodzą coraz groźniejsze wieści o powodziach. W Paryżu całe ulice na przedmieściach zalała wezbrana Sekwana.

Petersburg został nawiedzony katastrofalną powodzią, którą prasa nazywa bezprzykładną. Masy lodowe w jeziorze Ładoga, które wskutek odwilży oderwały się, płyną wzdłuż rzeki. Nawet części miasta, które nie zostały zalane w czasie powodzi w roku 1824, obecnie znajdują się pod wodą. Również obszary wzdłuż dolnej Wolgi stoją na obu brzegach na szerokości 50 km. pod wodą. Zapasy drzewa znajdujące się tam, zostały porwane przez wodę.

Słusznie uczyniły nasze władze, że wydały szereg zarządzeń i poczyniły przygotowania na wypadek powodzi u nas. Bo niewiadomo jeszcze jak groźne niespodzianki może nam urządzić zmienna i kapryśna pogoda.



VIII. Olimpiada: W Chamonix. Komitet organizacyjny zawodów: p. Frantz-Reichel Sekretarz gener. francuskiego komitetu olimpij., p. Edstrom Prezes Międzynar. Feder. Atletycznej, p. Peycelon delegat rządu franc. dla spraw olimpijskich.
Fot. Franc. Kosi. Olimp.

Narciarze polscy na Olimpiadzie.

Dnia 25 stycznia rozpoczęły się w Chamonix u stóp majestatycznej korony Mont Blanc olbrzymie międzynarodowe zawody sportów zimowych, stanowiące pierwszą część tegorocznej, ósmej z kolei Olimpiady, rozgrywanej się tym razem na ziemi francuskiej.

Zawodnicy nasi wezmą udział we wszystkich biegach, przewidzianych w programie zawodów.

Prócz powyższej grupy wyjeżdża na Zawody najlepsza polska narciarka p. Ela Michalewska-Ziętkiewiczowa. Jakkolwiek w programie Zawodów biegi pan nie są przewidziane, zarząd Główny P. Z. N. otrzymał informację, że biegi takie odbędą się poza konkursem. Wobec tego obecność na zawodach pani Ziętkiewiczowej jest bardzo pożądana, daje ona bowiem gwarancję, że wśród zawodniczek będzie jedną z najlepszych sił.

Przypuszczać należy, że skład polskiej grupy zapewni jej, jeśli nie jedną z pierwszych, to w każdym razie nie ostatnie miejsce wśród zawodników.

Jako delegaci p. Z. N. na Kongres Narciarski wyjeżdżają pp. podpułkownik Osmólski i Dr. Szatkowski.

Z kół sportowych otrzymujemy wiadomości, że pomyślnie załatwienie sprawy wyjazdu polskich narciarzy na Zawody Olimpijskie zawiądzając należy staraniom osobistym Pana Ministra Spraw Wojskowych gen. Sosnkowskiego.

Świat sportowy niewątpliwie będzie nader wdzięczny Panu Generalowi Sosnkowskiemu za ten pomyślny wynik kampanji, która toczyła się w ciągu ostatniego tygodnia, o wyjazd patrolu wojskowego do Chamonix.

Tak więc nieliczna ekspedycja narciarska nie będzie uszczuplona.



„Kaligula” w teatrze im. Słowackiego:
Reż. Antoni Piekarski w akcie II-gim.

„Kaligula” K. H. Rostworowskiego w teatrze im. Słowackiego.

Wzniesiony po 7 latach od głośnej premiery w r. 1917 poetyzny dramat autora „Judasa” świeci znów na scenie naszej ponowne tryumfy, dzięki swej niesłabnącej atrakcyjności, a także znakomitemu obecnie wykonaniu. Sztuka ta stojąca popiślową rolą tytułową, przyrównywana do „Ryszarda III” miała u nas doskonałych poprzednio wykonawców pp. Leonarda Bończę i Ludwika Sołskiego, obecnie kreował ją p. Antoni Piekarski, zdobywając olbrzymi sukces świetny i twórczą grą, podnoszoną zgodnie przez całą krytykę jako wysoki wyraz sztuki aktorskiej.

Podajemy w numerze niniejszym fotografię p. Piekarskiego, który obok innych zalet posiada i sztukę fotografowania się zdobytą w kinie, gdyż jest również jednym z świetniejszych w Polsce artystów kinowych.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Majerski w Łucku. Za zyczliwość dziękujemy. Wprowadzenie działów, o których Sz. Pan pisze, — projektujemy.

P. St. Bil., Kraków „Przyrzeczenie” — pisze się zwykle przez rz, a nie z, i „nie chcąc” pisze się oddzielnie a nie razem.

List pański zdradza niezbyt dokładną znajomość zasad ortografii oraz form przyzwoitości. — W koszu.



Grupa zawodników polskich, którzy biorą udział w Olimpiadzie w Chamonix na wyjeździe z Krakowa. Stoją (od lewej do prawej) Bujak, Krzeptowski, pułkownik dr. Osmólski, p. Ela Ziętkiewiczowa i kapitan Ziętkiewicz.
Fot. am. St. Leo.

O niezwykłych, na ogromną skalę poczynionych przygotowaniach do tej Olimpiady pisaliśmy już w swoim czasie i podawaliśmy zdjęcia nadstawiane nam uprzejmie przez Francuski Komitet Olimpijski w Paryżu. Dość przypomnieć, że zbudowano kilkukilometrowy tor dla bobsleighów i specjalną kolejkę napowietrzną, linową do wciągania saneczek i bobów z powrotem pod górę, że torem narciarskim będą rozległe zbocza najwyższego szczytu Alp — Mont Blancu, że wreszcie dla konkursów łyżwiarskich zbudowano ślizgawkę największą na świecie, bo o powierzchni 36.000 metrów kwadr.

Dziewiętnaście narodów zgłosiło już swój udział w tych konkursach sportów zimowych: Stany Zjednoczone Ameryki, Anglja, Francja, Belgja, Włochy, Szwajcaria, Hiszpanja, Szwecja, Norwegja, Austrija, Węgry, Czechosłowacja, Jugosławja, Polska, Estonja, Łotwa, Finlandja, Kanada i Argentyna.

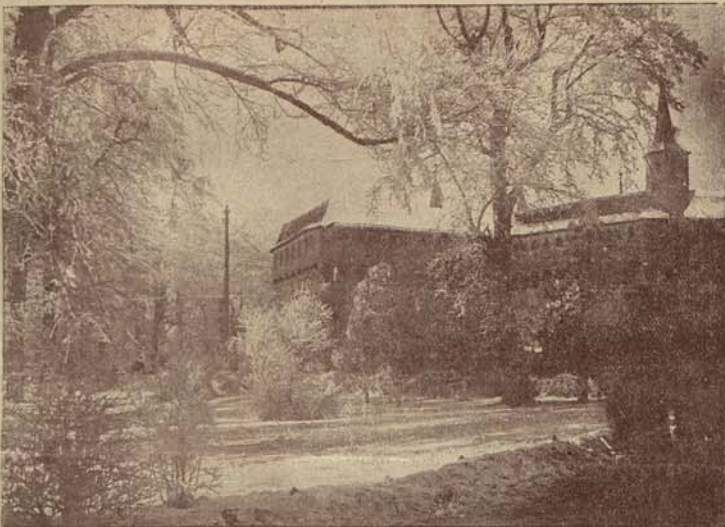
Jak nam komunikują, wszelkie trudności, jakie stały na przeszkodzie wyjazdowi polskich narciarzy do Chamonix zostały usunięte dzięki energii Zarządu P. Z. N. Dnia 22 b. m. z Krakowa wyjechała na Zawody grupa złożona z patrolu wojskowego i 2 zawodników cywilnych.

W skład grupy pozostającej pod dowództwem por. Wójcickiego wchodzi: Witkowski, Chrobak, Kaździółka i Tomera.

Jako zawodnicy cywili jadą Krzeptowski i Bujak.



Patrol wojskowy, który wyjechał na olimpijskie zawody narciarskie do Chamonix pod dowództwem por. Wójcickiego przed D. O. K. Krakow po raporcie u gen. Kulińskiego. Fot. am. St. Leo.



Mrozy i powódzie: Kraków otulony śniegiem i dekorowany szronem. Fragment plant około Barbakanu. Fot. amat. p. St. Leo.

Co wiedzą w wojsku polskiem o Juljuszu Słowackim.

Znany literat, obecnie jeden z kierowników pracy oświatowej w wojsku mjr. Marjan Dąbrowski opisuje w „Polsce Zbrojnej” wrażenia swe z egzaminów historii i literatury polskiej na oficerskich kursach polonistycznych. Smętne są te wrażenia. Najcharakterystyczniejszym jest jednak obrazek z koszar żołnierskich w Ostrowiu-Komorowie.

Oto co pisze mjr. Dąbrowski:

„Na pocieszenie odbyłem wizytację oświatowo-kulturalną koszar. Wszędzie zakres nowy, wszędzie życie wre, przełamuje się forma „cywila”, nabiera życia wojskowego nowy obrońca Polski.

Duża izba koszarowa. Na białej ścianie zamiast bojowych scen z Kaukazu lub ilustracji szturmów Pławni, wisi skromny, wyblakły od stołca portret Króla-Ducha.

Boże drogi, prawdziwy symbol naszej oświatowej pracy w wojsku... Kto go tu zna, kto o nim słowo jedno może powiedzieć, kto z tych szarych żołnierzyków czy nowych rekrutów zainteresuje się Juljuszem Słowackim?

Pedchodzę do żydka z Pragi.

— Dobrze wam w wojsku? — pytam.

— Co nie ma być dobrze, panie major.

— A wiecie, czyj to portret na ścianie?

Przymruża żydek oko chyttrze, wpatruje się w smutne oczy portretu, po chwili wahania mówi:

— To terazniejszy Naczelnik Państwa, pan Wojciechowski.

Na sali śmiech. Najgłośniej śmieje się szofer z Solca w Warszawie.

— No, a wy wiecie, kogo ten portret oznacza?

— Wiem panie majorze, tylko przeczytam podpis — sprytnie odpowiada dziecię Warszawy.

— Zbliżcie się i przeczytajcie.

— Juljusz Słowacki.

— Cóż wiecie o Juljuszu Słowackim?

— To był dobry patriota i wielki wojskowy w Polsce — pali prosto z mostu obywatel z ulicy Solec.

— Hm, wielki wojskowy mówicie, a przecież ma taki cywilny ubiór, nawet kolnierz od koszuli na wierzchu.

— To już nie wiem — kto to taki.

— No kto z was na sali wie, może który z podoficerów wie, — pytam.



Mrozy i powódzie: W Krakowie mroź udekorował przepysznie drzewa na plantach koronkami szronu. Fragment plant około sadzawki. Fot. amat. p. St. Leo.

Staje przedemną kapral — Kowalcuk.

— Melduję panie majorze, że ja wiem — to był taki *piśmiennik* polski, jak u nas na Ukrainie Taras Szewczenko. Dużo pisał wierszami o Ukrainie, „Pana Beniowskiego”, „ks. Marka” napisał.

Wyznaję otwarcie, że zrobiło mi się duszno.

Takiej odpowiedzi od żadnego z egzaminowanych oficerów nie słyszałem i zapewne nie usłyszę.

■ Koledzy moi po za „Ojca Zadumionych” i „Kordjana”, a i to w urywkach, czytanych przez nauczycieli, niewychodził w swej znajomości Słowackiego”.

Najlepsza pasta do zębów!!



„W krainie baśni“.

Dziecinny bal kostjumowy we Lwowie na dochód ociemniałych sierót w Polsce.

W dniu 26 grudnia 1923 urządziło Towarzystwo dla wspierania ociemniałych sierót we Lwowie przy pomocy bardzo ruchliwego Komitetu pań i panów kostjumowy bal dziecinny na dochód ociemniałych sierót ze wschodniej Małopolski, który zgromadził najlepsze sfery i nadzwyczaj piękny miał przebieg.

Rezultat okazał się pod każdym względem świetny.

Wspaniale ukostjumowane i zachwycająco piękne grupy bajkowe jak: różyczka, śnieżyczka i czerwony kapturek znalazły żywe uznanie.

Ponadto można było tam widzieć wiedeńską



W Krainie baśni: Grupy młodocianych uczestników balu dziecięcego we Lwowie.

Fot. M. Münz we Lwowie.

NICI
BAWEŁNY
KORDONKI
D. M. C.

Nadeszły WEŁNY na Jumpry
fabryk angielskich i francuskich
Poleca:
Polska Centrala
Handl. Niemi
S. WEGENKO i Ska
Współwłaściciele Grochowskiej Fabryki Nici
Warszawa, Krucza 24. Tel. 137-17 i 266-14.
Żądać wyczerpujących ofert i cenników.

LACET'Y
ZEPHYRY
JEDWABIE
L. V.

Materyały wełniane!

na suknie i kossymy damskie
na ubrania męskie
płaszczki i reglany.
Markizety, batysty, woale, perkalb,
zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze
i po cenach konkurencyjnych
poleca

KAROL JAROSZ

Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

Zakład techniczno-dentystyczny N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I. p. (narożnik Plant)
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

Zbrodnia! Podłością! Nikczemnością!

byłoby wpisywanie się do zagranicznych towarzystw korespondencyjnych, gdy jedynym polskim towarzystwem międzynarodowej wymiany jest

„Orient-Okcidental“

Adres: Kraków, ul. Rejzówka L. 1, II. p
Wkładka roczna 5 fr. walor. po kursie dziennym.

FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach
bardzo przystępnych firma

KAROL JAROSZ
Kraków, Floryańska 35

Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza I. 9.

Magazyn i pracownia obuwia męskiego, męskiego i dziecięcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stałe na składzie w wielkim wyborze.

Fortepiany i Pianina

Bechstein
Blüthner
Bösendorfer

do nabycia tylko u firmy:

Helena Smolarska

Kraków, ulica Szewska L. 9 I. p.



F. Lubański, Kraków, ul. św. Anny 2.

KAPELUSZE damskie

o 30% taniej jak wszędzie — sprzedaje

„ANTONINA“ pracownia kapeluszy damskich
Kraków, Floryańska 13, I. p. ofic.

- Przyjmuje wszelkie roboty modniarskie. -

Najtańsze źródło zakupu

Prawdziwych Dywanów Perskich

Bardzo rzetelna obsługa.
Oglądanie nie obowiązuje do kupna — tylko u
I. Lewkowicza, Kraków, ulica Grodzka L. 39.

RUTYNISTA buchalter i korespondent, były szef oddziału taryfowego w wielkim przedsiębiorstwie spedycyjnym, z praktyką bankową, organizator energiczny i przedsiębiorczy, poszukuje posady poza Krakowem. — Łaskawe zgłoszenia z podaniem warunków do Admia „Nowości Ilustr.“ Kraków, ul. Kazimierza Wielk. L. 95. pod „Tebe“.

KAWALER, ze starej rodziny na wysokim stanowisku z powodu braku znajomości, po powrocie z Ameryki zawiera znajomość z panną lub młodą wdową. —

Cel matrymonialny. — Zgłoszenia nieanonimowe z fotografiami nadsyłać do administracji „Nowości III.“ pod literę B. N.

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

DRUKARNIA

— — — POD FIRMA D. E. FRIEDLEINA — — —
KRAKÓW, UL. KAZIMIERZA W. 95

WYKONUJE WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES DRUKARSTWA
WCHODZĄCE: TABELI, AKCYE (wielobarwne), BROSZURY, CENNIKI, AFISZE i t. d. — — — PO CENACH KONKURENCYJNYCH